

MAJA DROZD



Zapach lasu

MAJA DROZD

Zapach lasu



Rok 1910



Rozdział 1



ZAKLUSZKI

Kółowrotek skrzypiał niemiłosiernie, a przy każdym jego obrocie przymocowane na końcu łańcucha wiaderko chygotało się i kołysało. Woda rozlewała się obficie poza ranty i z głośnym pluskiem spadała na powrót w głębinę studni.

Drobna kobieta, otulona kraciatą chustą, odetchnęła z ulgą, kiedy napelniony wodą kubel pojawił się nad cembrowiną. Z trudem zablokowała koło i oparła ręce na krzyżu, prostując się. Dopiero po dłuższej chwili czerwoną od mrozu dłonią ujęła kołyszące się na łańcuchu wiaderko i przelała lodowatą wodę do cebrzyka stojącego na ziemi tuż pod jej stopami.

Zanim ruszyła w drogę powrotną, odgarnęła z czoła kosmyk siwych włosów, który wysunął się spod wełnianej chusty, poprawiła rękaw płaszcza i rozejrzała się dookoła.

W rogu niewielkiego podwórka, wciśniętego między niskie żydowskie kamieniczki, nędznie ubrane dzieci bawiły się na pokrytej cienką warstwą lodu kałuży. W bramie kilku starozakonnych



w czarnych chałatach narzuconych na nienagannie białe koszule głośno o czymś dyskutowało. W swoim zacietrzewieniu podobni byli do stada zziębniętych srok, klóących się o ostatnie jagody skarłowaciałej jarzębiny, której niewielkie drzewko rośło tuż obok. Odgłos ich rozmów odbijał się echem od ciemnych od brudu murów budynków wokół.

Kobieta przy studni westchnęła głośno, a potem pochyliła się, by podnieść z ziemi drewniany cebra z wodą.

– Pochwalony, Cecyljo! – Od strony drzwi prowadzących na klatkę schodową w kamienicy zmierzała ku niej młoda, pulchna kobieta z wiadrem w dłoni. – Zimno dzisiaj jak w psiarni, ino patrzeć, jak śniegu dosypie. – Sąsiadka z parteru zatupała noszącymi ślady użytkowania, wysoko wiązanymi trzewikami. – A co to? Siły nie macie, że tak nad tym wiaderkiem stoicie?

– Toż już prawie zima, Andrzejowo, to i nie dziwota, że chłodno. A jak śnieg spadnie, to i dobrze. Lepszy śnieg niż błoto i plucha. Wacława mojego wypatruję, czy aby nie wraca – odpowiedziała starsza kobieta, wskazując ruchem głowy na bramę.

Andrzejowa spojrzała w tamtym kierunku, ale zamiast sędziwego sąsiada, który zwykle o tej porze wracał z pracy w pobliskiej szkole, jej uwagę przykuło coś zgoła innego.

Wysoki, postawny mężczyzna, ubrany w ciepły płaszcz, z torbą podróżną przewieszoną przez ramię, wszedł właśnie powolnym krokiem na podwórko ich kamienicy. Nieznajomy się zatrzymał, rozejrzał dookoła, a potem zwrócił do stojących w bramie Żydów.

– O, patrz no, pani, znowu jakieś obce się tu szwendają. Włóżą się tacy po świecie nie wiadomo po co – skomentowała



Andrzejowa, nie odrywając wzroku od przybysza. – Albo to jaki złodziej, albo co gorsze ruski, a taki to nic, tylko węższy... Nie do waszego Waclawa on przyszedł?

– Co też wy opowiadacie! – skarciła sąsiadkę Cecylia. – Po co by kto obcy Waclawa miał nachodzić?

Mimo tych słów niepokój ścisnął serce kobiety, bo z doświadczenia wiedziała, że pojawienie się obcych w miasteczku zwykle nie zapowiada niczego dobrego. Osłoniła ręką oczy i spojrzała w kierunku bramy. Nieznajomy nie wyglądał ani jak włóczęga, ani też jak ruski policjant. Wyprostowany, w średnim wieku, ubrany dostatnio, ale bez przesady, sprawiał raczej wrażenie podróżnego.

– Nie poznajecie mnie, matko? – zapytał mężczyzna, podszedłszy do Cecylii.

Głos wydawał się znajomy. Kobieta zaczęła się bacznie przyglądać przybyszowi. Wysoki, barczysty, ciemnowłosy, z twarzą pokrytą bliznami, obdarzył ją bystrym spojrzeniem ciemnych oczu. Oczu, których nie mogła nie pamiętać.

– Anton! Wszelki duch Pana Boga chwali! Ty żeś to? – zawołała z niedowierzaniem i ulgą jednocześnie.

Podróżny się uśmiechnął, rozłożył szeroko ramiona i otoczył nimi kobietę.

– Anton, dziecko drogie... – powtarzała wciąż drżącym głosem, kiedy po chwili udało jej się uwolnić z jego objęć. – Zmienileś się, zmężniałeś... Ale widzę też, że los cię nie oszczędzał... – dodała, gładząc go zmarzniętymi dłońmi po poranej bliznami twarzy.

– Ano, nie oszczędzał – odrzekł Anton. – Ale wy za to nic się nie zmieniliście, matko.



Cecylia się roześmiała, bo wiedziała, że przecież czas nie zna litości dla nikogo.

– Co u was? Ojczym w domu? – dopytywał Brodzki.

– W szkole jeszcze... Ale co tak będziemy na zimnie stali, zachodźże do środka. – Cecylia wskazała ręką w kierunku drzwi wejściowych. – Taki gość, taki gość... Taka niespodzianka... – powtarzała w kółko.

Wtedy dopiero przypomniała sobie o sąsiadce, która przysłuchiwała się uważnie ich rozmowie, zaciekawiona ogromnie, kto to taki zawitał do Jachimiuków spod piątki.

– Patrzcie no, Andrzejowo, to nie ruska policja, ale Anton w odwiedziny do nas przyjechał. Pasierb mój.

Tym stwierdzeniem jeszcze większe zainteresowanie wywołała. Sąsiadka skinęła głową i podparła się pod boki, dodając sobie tym gestem pewności.

– Miło poznać. A skąd to dobry Bóg prowadzi? – zagadnęła.

– A z daleka, z daleka. – Anton najwyraźniej nie miał ochoty na wdawanie się w pogaduszki z nieznajomą. – A co to, widzę, żeście jeszcze wody nie nabrali. – Wskazał na wiaderko stojące u stóp Andrzejowej. – Raz-dwa zakręcę, chociaż na coś się przydam.

Szybko i sprawnie zaczerpnął wody i wziąwszy obydwie naczynia w dłonie, ruszył za kobietami w kierunku drzwi.



Siedział przy stole w niewielkim salonie w mieszkaniu macochy i jej męża. Z kuchni dochodził mile lechący nozdrza zapach

gotowanego przez Cecylię obiadu. Anton przełknął ślinę, która napłynęła mu do ust, i rozejrzał się dookoła.

Mieszkanie było niewielkie, urządzone z prostotą. Duży drewniany stół, cztery tapicerowane krzesła, szafa na ubrania i komoda w tym samym kolorze. Obok okna postawiono kanapę, fotel i regał z książkami. Brodzki wstał z miejsca i podszedł do półek wypełnionych po brzegi zniszczonymi od częstego używania woluminami. Z namaszczeniem dotknął wytartych brzegów. Dobrze pamiętał, jak ojczym każdą wolną chwilę spędzał zgarbiony, przerzucając zadrukowane kartki. Książki nigdy zbyt długo nie grzewały miejsca w ich domu, bo Wacław pożyczał je znajomym i uczniom. Tak było jeszcze w czasach, kiedy jako młody chłopak Anton mieszkał z Jachimiukami, i pewnie nie zmieniło się do dzisiaj. Zawsze się dziwił, jakim cudem te wszystkie książki wracały do wypożyczającego. Wprawdzie niekoniecznie te same, bo ich miejsce zajmowały nierzadko inne tytuły i inni autorzy, ale nigdy nie było tak, żeby regał świecił pustkami.

Odwrócił się, kiedy usłyszał za sobą kroki. Cecylia weszła do pokoju, niosąc w rękach tacę zastawioną czajniczką z herbatą, cukierniczką i dwiema filiżankami. Postawiła ją na stole i zapraszającym gestem wskazała na krzesło.

– Pewnie zmarzłeś i jesteś głodny, co? Obiad już dochodzi, a póki co rozgrzejmy się herbatą. Książki oglądałeś? – bardziej stwierdziła, niż zapytała. – Ot, widzisz, nic się nie zmieniło. W dzisiejszych czasach to wciąż niebezpieczne, ale on ciągle nowe do domu przynosi. Ja naprawdę nie wiem, gdzie on je znajduje... – Pokręciła głową.



Anton wrócił na miejsce. Cecylia napełniła aromatycznym napojem filiżanki i usiadła naprzeciwko niego, obserwując, jak gość pije.

– Co cię do nas sprowadza? Wszystko u ciebie w porządku? Tak dawno się nie widzieliśmy...

Anton spojrział na macochę i się uśmiechnął. Od ich ostatniego spotkania faktycznie minęło sporo lat, ale Cecylia bardzo się nie zmieniła. Drobna, niewysoka, łagodna i spokojna w ruchach i w mowie. Tylko jasne włosy, które teraz upięte miała wysoko na modłę miejską, a nie jak dawniej schowane pod chustką, przyprószyła już siwizna, a oczy okalała pajęczyna drobnych zmarszczek.

– Wszystko w porządku – odparł. – Artiom ziemię w Zalesiu ma plan ode mnie kupić. Chciałem zapytać was o zgodę. Was i Karoliny...

Cecylia zaplotła szczupłe, zaczerwienione jeszcze od zimna dłonie i położyła je na stole, jakby podświadomie usiłowała stworzyć barierę między sobą a siedzącym naprzeciwko gościem.

– Ja nic do Zalesia nie mam. Niczego nie chcę. Mówiłam ci już przecież. – Kobieta poruszyła się nerwowo na krześle, zupełnie jakby odganiała wspomnienie czegoś, o czym zapomniała albo starała się zapomnieć. – A Karolina? Nie wiem. Jej samej zapytać musisz. To jej ojcowizna. Ona też do Zalesia nie chciała wracać, ale teraz dzieci małe ma, to kto wie co zadecyduje. Nie wiedziałeś, że wyszła za mąż, prawda? – zapytała Cecylia, widząc malujące się na twarzy Antona zdziwienie.

– Nie wiedziałem, ale mogłem przypuszczać, bo swoje lata już ma, to i dziwne by było, jakby do ołtarza nie poszła – odrzekł.



– Michał to dobry człowiek, fachowiec, domy buduje. Dostatnio żyją i w zgodzie, a to najważniejsze. Do Łodzi się przeprowadzili, bo on tam pracę przy budowie fabryki dostał. Poznali się na nim, że fach ma w rękę, i teraz tam fabryki i kamienice stawia. Nie sędzę, żeby Karolina na wieś wracać chciała. Dogadacie się...

Cecylia nerwowo poprawiła ułożenie cukierniczki i zaczęła się bawić łyżeczką leżącą na spodku obok filiżanki. Wyglądało, jakby przeszłość wciąż były dla niej trudna, ale mimo upływu lat nie mogła o niej zapomnieć.

– Ja... ja nic nie chcę... – powtórzyła.

Mężczyzna skinął ze zrozumieniem. Pochylił się nad stołem i sięgnął w kierunku dłoni macochy. Przykrył je obie swoją potężną ręką i patrząc kobiecie w oczy, powiedział:

– Rozumiem, matko, i dziękuję.

Cecylia pokiwała głową, westchnęła, a potem podniosła się z krzesła. Odwróciła szybko wzrok, by ukryć wzruszenie.

– Zupełnie przemieszać lepiej pójdę, bo jeszcze się przypali i nie będzie co jeść – powiedziała i udała się w kierunku kuchni.

Anton tymczasem dolał sobie herbaty i rozgrzewał dłonie ciepłem filiżanki.

Cecylia wróciła po chwili, a na jej pobrużdżonych zmarszczkami policzkach można było dostrzec ślady łez. Usiadła przy stole i nim gość zdążył się odezwać, zaczęła go energicznie wypytywać:

– Jak ci się udało nas znaleźć w tej miejscinie? Przeprowadzaliśmy się przecież kilka razy. A ostatnio jak się widzieliśmy, to chyba jakoś w Jakuszach mieszkaliśmy.



– Ano, nie było łatwo. Długo was szukałem. Bo też zaszyliście się tutaj, jakbyście się ukryć przed światem próbowali. Tropiłem was jak zwierzynę w lesie. Ludzi wypytywałem. Nie chcieli gadać, bo myśleli, że ja carska ochrana. Ale się udało i oto jestem.

Cecylia machnęła wymownie ręką.

– A bo to już nie zliczę, która to szkoła, w której Wacław uczy. Sam wiesz, jaki on jest. Przecież szkoły ruskie są i uważać trzeba. Jak tylko coś się komuś zaczynało nie podobać, ruszaliśmy przed siebie. Im mniejsze sioło, tym bezpieczniej. Ludzie tutaj wymieszani, różnymi językami mówią. A że w zapadłych miasteczkach nikt uczyć nie chce, to nikomu nie przeszkadza, że Wacław Polak jest. Ludzie go szanują, nawet i dzieci, bo on przecież dusza człowiek, sam wiesz.

– Wiem – przytaknął Anton. – Jak syna mnie wychował, uczyć kazał, chociaż ja obcy dla was...

– Jaki ty obcy! – zaprotestowała Cecylia. I już oczy zaczynały się jej łzami napęlniać, szybko więc odkasznęła i zmieniła temat. – To mówisz, że gospodarkę chcesz sprzedać. Nie chcesz na roli gospodarzyć? Nie żal ci?

– Żaden ze mnie gospodarz. A ta chałupa i ten skrawek ziemi tylko wspomnienia budzą. Artiom o ziemię zadba jak o swoją. W dobre ręce ojcowiznę oddaję. Moje życie to las. Leśniczówkę na Czarcich Bagnach postawiłem, tam mój dom.

Cecylia pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Żadna tam w Zalesiu na ciebie nie czeka? Taka, co by z tobą na tych Czarcich Bagnach zamieszkać chciała?

W końcu padło pytanie, którego Anton się spodziewał.



– Nie, matko, nie czeka. Jakoś się nie złożyło. Może przez te blizny ode mnie kobiety stronią? – dodał, żeby uniknąć dalszych dociekań ze strony macochy.

– Nie wydaje mi się, żeby przez to. Ale co mi tam... – mruknęła Cecylia i zaczęła zbierać naczynia ze stołu. – Pora nakrywać. Wacława tylko czekać. To mówisz, że nas długo szukałeś... – powiedziała po chwili jakby do siebie. Nagle się zatrzymała, zmarszczyła brwi, jak gdyby nad czymś się zastanawiała, a potem spojrzała na gościa. – A ty czasem, Anton, aby przed czymś albo przed kimś nie uciekasz? Na pewno problemy cię jakie nie trapią? Tylko ta gospodarka, co ją sprzedać chcesz, do nas cię przywiodła? – zapytała niespodziewanie.

Anton poczuł, że dreszcz przechodzi mu po plecach. Zapomniał już, jak niezwykłą intuicję ma macocha, którą ludzie w Zalesiu mądrą nazywali.

– O zgodę na sprzedaż ojcowizny zapytać chciałem. Przed niczym nie uciekam. Nie tak jak wtedy, kiedy za dzieciaka przed tiumą¹ z wami z Zalesia uchodzić musieliśmy. Nie martwcie się, matko, dorosłem.

– A ot, i dorosły uciekać czasem musi. Ale skoro tak mówisz, to dobrze. Słyszysz? Toż chyba Wacław już wraca. A to się zdziwi, jak cię zobaczy – dodała i zostawiwszy naczynia na stole, pospieszyła do drzwi wejściowych, by powitać męża.

1 Tiuma (ros.) – więzienie.



Faktycznie, na schodach dał się słyszeć odgłos szurania nogami, a zaraz potem dźwięk otwieranych drzwi i do mieszkania wszedł Wacław Jachimiuk, wnosząc ze sobą zimowy chłód.

– Mamy gości! Nie uwierzysz, kto do nas zawitał! – oznajmiła od progu Cecylia, odbierając od niego płaszcz, czapkę i rękawiczki.

Wacław, mężczyzna z wyglądu dużo starszy od żony, nieco przygarbiony i zupełnie już siwy, zdziwił się podekscytowanym tonem małżonki.

– Ooo, a któż to? – zapytał, odwijając z szyi ciepły wełniany szalik.

Anton wszedł za macochą do przedpokoju. Ojczym spojrzał na niego zza okularów, które zaparowały od panującego w mieszkaniu ciepła. Ściągnął je i zmarszczył brwi, próbując bez szkieł odgadnąć, kim jest stojący przed nim człowiek.

– To Anton, nie poznajesz? – pospieszyła mu z pomocą żona.

Wacław przekrzywił głowę, a w jego oczach pojawił się błysk.

– Anton? To naprawdę ty? – zapytał zdziwiony.

Brodzki, wzruszony, podszedł do ojczyma i uściskał go mocno.

– Witaj, ojcie – powitał człowieka, który jak nikt inny zasłużył na to miano.

Tego wieczoru w mieszkaniu Jachimiuków pod piątką do późna paliło się światło. Wspomnieniom z przeszłości i opowieściom o tym, co się wydarzyło od czasu, kiedy po raz ostatni ta trójka się widziała, nie było końca.

Cecylia i Wacław przekonali Antona, żeby został u nich jeszcze kilka dni, zanim uda się w dalszą podróż do Łodzi w poszukiwaniu siostry.



I tak oto kolejnego popołudnia Waclaw Jachimiuk żwawiej niż zwykle wracał do domu, by spędzić czas z pasierbem, słuchając jego opowieści o Zalesiu, o Syberii i o całym tym świecie, który znajdował się gdzieś poza Zakluskami.



– Nie mógłbyś zostać u nas nieco dłużej? – zagadnął Antona Waclaw.

Brodzki nabrał powietrza, by przypomnieć, że powinien już udać się do siostry, bo Artiom czeka na jego odpowiedź, ale Jachimiuk zdołał uprzedzić jego słowa.

– Wiem, że chcesz jechać do Karoliny, ale to chyba nie jest aż tak pilne, żeby nie mogło trochę poczekać, prawda? W szkole, w której pracuję, potrzebują właśnie osoby do palenia w piecach i do drobnych remontów. Jasiek Kilian znów się pochorował, biedaczysko. Mógłbyś go zastąpić. A po Nowym Roku albo na wiosnę pojedziesz do Łodzi. – Waclaw z nadzieją w głosie roztaczał przed Antonem wizję najbliższych tygodni. – Zrobiłbyś nam ogromną przyjemność, gdybyś spędził razem z nami Boże Narodzenie.

Anton westchnął, bo wyglądało na to, że ojczym jest dobrze przygotowany na każdą jego ewentualną wymówkę. Zresztą, czy to przez sentyment, czy może ze względu na poczucie, że jest im coś winien, albo z chęci trzymania się dłużej z dala od Zalesia, nie zamierzał się wcale spierać ze starszym człowiekiem.

I dlatego już następnego ranka razem z uradowanym Jachimiukiem dreptał po zamarzniętym błocie do szkoły, w której miał znaleźć zatrudnienie na najbliższe tygodnie.





Pracę zaczynał wcześniej rano. Rozpalał w kaflowych piecach znajdujących się w dwóch niewielkich salach lekcyjnych szkoły w Zakluskach. Potem odgarniał śnieg przed budynkiem i na niewielkim, wciśniętym między sąsiednie domy podwórku. Kiedy zaś dzieci zaczynały zajęcia, udawał się do zagraconego starymi ławkami i szafkami warsztatu w podpiwniczeniu. Tam naprawiał sprzęty, a w przerwach dokładał znów do pieców w salach.

Po południu wspólnie z ojczymem wracał do domu, gdzie czekała na nich Cecylia z obiadem. Po posiłku Wacław zasiadał w fotelu obok regału z książkami, odpalał fajkę i zanurzał się w lekturze. W tym czasie Anton przynosił opał i wodę, a potem wspólnie z macochą dołączali do czytającego w salonie Jachimiuka i rozmawiali o świecie, o polityce i o życiu.



Książka wypadła z ręki drzemiącego w fotelu Wacława. Cecylia podniosła wzrok znad robótki. Wstała i podeszła do męża, po czym z czułością okryła go kocem. Ściągnęła mu z twarzy przekrzywione okulary i odłożyła je na stolik obok, a potem skrzyła lampę naftową i wróciła na miejsce.

Anton, podobnie jak macocha zaalarmowany odgłosem upadającej książki, uniósł głowę znad gazety i przyglądał się śpiącemu człowiekowi, który niegdyś zastąpił jego zmarłego ojca u boku Cecylii. Wacław Jachimiuk miał zaledwie kilka lat, by nauczyć



chłopca, co znaczą ojcowska miłość, troska i opieka. Bo jako dziecko mały Brodzki nie zaznał ich od człowieka, który go spłodził, dał mu nazwisko i ziemię. Ziemię, którą teraz Anton chciał sprzedać.

– Wacław to dobry człowiek. Innego życia się przy nim nauczyłam – odezwała się cicho Cecylia, gdy dostrzegła zamyślony wzrok pasierba, zupełnie jakby czytała w jego myślach. – Spokojnego... – dodała.

Brodzki spojrzał raz jeszcze na ojczyma. Pierś starszego mężczyzny unosiła się jednostajnie, a z jego ust dochodziło ciche pochrapywanie.

– Dlaczego wyszłaś za mojego ojca? – zapytał po chwili Anton, przenosząc pytające spojrzenie na Cecylię.

Kobieta zastygła w bezruchu z igłą w powietrzu. Odetchnęła ciężko, zagłuszając swoim westchnieniem chrapanie męża. A potem wbiła igłę w tkaninę i zdecydowanym ruchem odłożyła tamborek na stół.

Wyprostowała się na krześle, szykując się na rozmowę, którą być może powinna była odbyć już dawno. Cecylia wiedziała jednak, że siedzący teraz naprzeciwko niej dorosły mężczyzna zrozumie więcej niż przestraszony, osierocony dzieciak, który wodził za nią zlekniętymi oczami w chacie w Zalesiu.

– Ot, młoda byłam, głupia i zakochana... – zaczęła. – Twój ojciec nie był jeszcze takim człowiekiem, jakiego pamiętasz. Był najprzystojniejszym mężczyzną we wsi. Usłużny, miły, a i pożartować lubił. Każda się w nim kochała... Ale on tylko w oczy jednej zaglądał i w jednej oczach bez reszty utonął. Jakież to płacz był we wsi, jak się z twoją matką ożenił... – Cecylia uśmiechnęła się na wspomnienie odległych lat młodości. – Ludzie gadali, że Brodzka

męża na postronku wodzi. Mnie się jednak widzi, że to z zawiści, bo mało takich zgodnych i szczęśliwych małżeństw jak oni w życiu widziałam. Ale niedługo to trwało... – Posmutniała, przygryzła wargę i pokiwała głową. – Nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście, kiedy po śmierci Wasilisy... Twojej matki, znaczy się, niech spoczywa w pokoju, Brodzki na mnie zwrócił uwagę i do moich rodziców swatów przysłał. Co ja się Bogu za taką łaskę nadziękowałam! – Kobieta machnęła ręką, jakby odganiała natrętną muchę. – We wsi plotkowali wprawdzie, że on z rozpacz po śmierci żony rozum postradał i pić zaczął, ale nie chciałam w to wierzyć.

– Powinnaś była ich posłuchać, matko – wtrącił Anton cicho.

– Może i powinnam. Myślałam jednak, że jak żałoba minie, to i mnie choć trochę pokocha, jak twoją matkę kochał... Myliłam się. W Brodzkim po jej śmierci nie pozostało już ani odrobiny miłości, tylko żal, smutek i potworna złość na świat.

– Nienawidzisz go za to?

– Boże broń! Niedobrze zmarłych nienawidzić! Kiedyś, jak żył... może. Nie pamiętam już... Ale teraz już żalu ni urazy do niego nie chowam.

– Mało to się przez niego w życiu nacierpiałaś?

– Najwięcej krzywdy ty od niego doznałeś. Mnie i Karolinę jak powietrze traktował. Ty masz oczy takie same, jak miała Wasilisa, więc co spojrzał na ciebie, to zaraz w taką złość wpadał, jakby chciał ukarać cię za to, że ona zmarła, a on żyć musiał dalej bez niej. Ale czemu ty winny byłeś?

Anton słuchał w milczeniu. Usta miał zaciśnięte i czoło zmarszczone, jakby wspomnienie dawną złość na ojca w nim obudziło.



– Teraz mnie się zdaje, że on z żalu taki zły na wszystkich był. Bez reszty w miłości się zapamiętał, a kiedy stracił ukochaną, to miejsca swojego na świecie nie mógł już odnaleźć. Jego śmierć spokój nam wszystkim przyniosła... A potem los nasz się odmienił, bo dobry Bóg postawił na naszej drodze Wacława. – Spojrzała z czułością na drzemiącego w fotelu męża.

Cecylia i Anton milczeli przez dłuższą chwilę, wpatrzeni w unoszącą się i opadającą pierś Jachimiuka. Zupełnie jakby jego chrapanie wyciszało ich złość na człowieka, który dawno temu skrzywdził ich oboje.



Mijały kolejne dni, powtarzalne i spokojne. Aż w końcu nadeszło Boże Narodzenie i mimo radosnej atmosfery panującej w mieszkaniu Jachimiuków pod piątką wolne miejsce przy stole przywołało smutek na twarze trzech siedzących przy wigilijnej wieczerzy osób. Cecylia i Wacław myślami byli przy Karolinie i jej dzieciach, a Anton przed oczami miał oblicza tych, co zostali w Zalesiu i do których tęsknił, chociaż obiecał sobie, że nie będzie.

Kiedy nadszedł sylwester, a zaraz po nim Nowy Rok, Anton, składając życzenia Cecylii i Wacławowi, życzył sobie i im lepszego roku. Pełnego nadziei.

Rok 1911



Rozdział 2



GRODNO

Sala balowa pałacu Chreptowiczów w Grodnie w sylwestrową noc rozbrzmiewała muzyką i gwarem rozmów. Zapach perfum i tytoniu mieszał się z ciepłą wonią ludzkich ciał. Panie ubrane w szykowne toalety oraz panowie w eleganckich frakach prowadzili rozmowy lub wirowali na parkiecie w rytm modnych walców i mazurów.

Każdy z obecnych na balu chciał na swój sposób wyróżnić się w wielobarwnym tłumie wypełniającym rzęsiście oświetloną salę. Ale to Milda Wysocka swoją oryginalną urodą, strojem i magnetycznym sposobem bycia przykuwała uwagę większości zgromadzonych.

Wszyscy mężczyźni, bez względu na status społeczny czy stan cywilny, pragnęli chociaż przez chwilę znaleźć się w zasięgu jej ogromnych, bursztynowych oczu i zasłużyć na jeden z jej czarujących uśmiechów.



Kobiety obserwowały ją z nie mniejszym zainteresowaniem. Staraly się zapamiętać każdy detal jej zdobionej orientalnymi wzorami sukni, sposób upięcia włosów czy rodzaj biżuterii. Wszystko po to, by zapewnić sobie temat do rozmów na najbliższe tygodnie.

A ponieważ przez większość czasu Wysockiej na balu towarzyszyła córka doktora Grońskiego, to zainteresowanie, jakie wzbudzała osoba pięknej Litwinki, zaczęło się kierować również w stronę Ewy Zalewskiej. Komentowano jej strój i z niemalą zazdrością również jej urodę, gdyż jak mówiono, najmłodsza Grońska zyskała z wiekiem. Szeptem zaś opowiadano o jej świętej pamięci mężu i „biednej, osieroconej córce”, nie zapominając wspomnieć przy tym o niemalym majątku przez owo dziecko odziedziczonym.

Milda nic sobie nie robiła z poruszenia, jakie wywołała swoim pojawieniem się na balu u Chreptowiczów. Z wdziękiem rozdawała uśmiechy znajomym, przystając co chwilę, by zamienić z tym lub owym kilka słów. A potem, ukrywając twarz za wachlarzem, dyskretnie przekazywała swojej towarzyszce co ciekawsze informacje na temat napotkanych osób.

– Teodor Rzecki... puszy się jak paw, ale tajemnicą poliszynela jest to, że przegrał w karty majątek żony i niedługo oboje wylądują na garnuszkach u teścia.

Szczupły i nad wyraz wysoki mężczyzna, którego twarz nosiła liczne blizny po ospie, przechadzał się dostojnym, ipsis królewskim krokiem pomiędzy gośćmi.

– Ooo... jest i młoda żona pułkownika Gierasimowa. – Milda delikatnym ruchem głowy wskazała blondyneczkę uczepioną ramienia dużo od niej starszego rosyjskiego oficera. – Boże, jaka

ona śliczna... No cóż, nie będzie miała z nim łatwego życia.... – westchnęła ze smutkiem, nie wyjaśniając, dlaczego tak się miało stać. Nagle Wysocka wyciągnęła dłoń do zbliżającej się pary. – Jak miło państwa widzieć!

Szykownie ubrana i obwieszona biżuterią kobieta o przeciętnej urodzie i towarzyszący jej niewysoki, wyraźnie lubiący dobrze zjeść mężczyzna z włosami gładko zaczesanymi na brylantynie zatrzymali się tuż obok.

– Poznajcie moją przyjaciółkę. Ewa Zalewska, córka doktora Grońskiego.

Mężczyzna skinął głową.

– Konstanty Dachnowicz. Moja żona Eufemia.

Pani Dachnowiczowa uśmiechnęła się zdawkowo i obrzuciła Ewę chłodnym, świdrującym spojrzeniem.

– Dawno państwa nie widziałam – kontynuowała rozmowę Milda. – Podobno byli państwo na wояżach w Europie?

– Właśnie wróciliśmy z Włoch. Żona musiała nabrać nieco sił. A gdzież najlepiej się odpoczywa, jak nie w pięknej Italii! – Dachnowicz cedził słowa, starając się nadać swojej wypowiedzi powagi i patosu.

– I jak wrażenia z podróży? – zainteresowała się Wysocka.

– Cudownie! Cudownie, moja droga – wtrąciła się milcząca dotąd Eufemia i jakby chciała nadrobić stracony czas, przez najbliższych kilka minut rozpyływała się nad krajobrazami i pięknem wybrzeży w pobliżu Rzymu, nie dopuszczając nikogo do słowa.

Ta opowieść, znana już zapewne każdemu z obecnych na balu, mogłaby trwać jeszcze długo, gdyby nie Milda, która z czarującym uśmiechem przerwała kobiecie:



– Och, to musiała być naprawdę ekscytująca wyprawa! Wybacz państwo, ale widzę, że mój mąż nas wzywa. No cóż, obowiązki małżeńskie...

Rozłożyła bezradnie ręce, jakby chciała podkreślić, że w przeciwnym razie z radością spędziłaby resztę wieczoru, słuchając opowieści pani Dachnowiczowej. Potem ujęła Ewę pod ramię i ruszyły w kierunku grupki mężczyzn stojących w kącie sali.

– Nadęte bufony! – syknęła cicho Milda. – Ostrzegam cię, moja droga, uważaj na Dachnowicza, wygląda niepozornie, ale to kobieciarz, jakich mało. Ale jeszcze bardziej strzeż się jego żony. Ta kobieta potrafi zniszczyć każdą, którą dłużej zainteresuje się jej mąż. Widziałas, jakim spojrzeniem cię obrzuciła?

Na wspomnienie zimnych oczu pani Eufemii Ewie ciarki przeszły po plecach.

– Chodź, przedstawię cię mojemu mężowi – powiedziała Milda.

Mikołaj Wysocki, postawny i znacznie starszy od swej żony mężczyzna, obrzucił Ewę szybkim, oceniającym spojrzeniem, wymienił z nią kilka zdawkowych uprzejmości, po czym życzył paniom udanego wieczoru i wrócił do rozmowy, która najwyraźniej zajmowała go znacznie bardziej niż Milda i jej przyjaciółka.

– Mój Mykoła prowadzi rozliczne interesy. A ten bal ściągnął wiele majątnych osób – wytłumaczyła męża Wysocka. – Spójrz, tam, koło Dachnowiczów, stoi Zygmunt Bryński. – Milda szybko wróciła do poprzedniego zajęcia. – Niedawno owdowiał. Żona osierociła dwóch małych chłopców. Straszny z niego mruk, ale ma piękny majątek ziemski niedaleko Druskiennik.

Ewa skierowała wzrok na wysokiego i przeraźliwie chudego mężczyznę z sumiastym wąsem na poszarzałej twarzy, stojącego w towarzystwie starszej kobiety. Podobieństwo tych dwojga nie pozostawiało wątpliwości co do łączącego ich pokrewieństwa.

– Ten młody elegancik obok matki Bryńskiego, otoczony wianuszkami rozświergotanych dziewcząt, to Siergiej Popow. Jakież on uroczy... – westchnęła Milda. – Idealny na niezobowiązujący flirt, ale jeśli szukasz kogoś na poważnie, nie bierz go pod uwagę. A tam dalej...

– Czy nie ma tutaj żadnego porządnego mężczyzny? – przerwła jej Ewa.

Milda się roześmiała, ukrywając na moment twarz za wachlarzem.

– Ależ są... Oczywiście, że są... – Wyraźnie rozbawiona rozejrzała się po sali. – Tam! – Wskazała głową na grupkę osób stojących nieopodal okna. – Widzisz tego starszego mężczyznę obok damy, która wciąż śledzi nas wzrokiem?

Ewa spojrzała w kierunku wskazanym przez Wysocką.

– Przecież to mój ojciec! – zdziwiła się.

– No cóż, doktor Groński to jedyny porządny mężczyzna na tej sali – odpowiedziała Milda, delikatnie trącąc złożonym wachlarzem ramię Zalewskiej. – Swoją drogą... wiesz, że poznaliśmy się kilka lat temu w Połędzie? Przebywał tam z twoją matką i siostrą. Jesteś bardzo do niego podobna.

Ewa spojrzała na Wysocką i pomyślała, że chociaż tak krótko zna tę kobietę, to czuje się w jej towarzystwie zaskakująco dobrze.

– Naprawdę nie został nikt inny? Ktoś... mniej ze mną spokrewniony? – Ewa wydeła usta, tak jak robiła to przyjaciółka.

– Może być problem... Ale nie tracimy nadziei, może ktoś jeszcze się pojawi – odrzekła rozbawiona Milda. – O, na przykład z tymi oto panami – wskazała głową dwóch zbliżających się dżentelmenów – zdecydowanie powinniśmy zatańczyć. Nie mam pojęcia, czy dysponują jakimkolwiek majątkiem, ale są przystojni i wyglądają na takich, co potrafią dobrze tańczyć. A ja tak dawno tego nie robiłam – westchnęła teatralnie.

Tak jak przeczuwała, mężczyźni poprosili je do tańca i już po chwili obie z gracją sunęły po parkiecie w rytm muzyki, przeznaczając przerwy jedynie na krótkie rozmowy i zmianę partnerów.

A wszystko to śledziły czujne oczy Aurelii Grońskiej i Mikołaja Wysockiego.



I tak oto, nie wiadomo kiedy, zrobiło się późno i nadszedł czas, by wracać. Państwo Grońscy z córkami pożegnali gospodarzy i znajomych, po czym wsiedli do powozu, który miał ich zawieźć do domu.

– Widzę, że zaprzyjaźniłaś się z Mildą Wysocką. Czy zaprosiłaś ją do nas po Nowym Roku? – zapytała Ewę matka.

Głowę Zalewskiej wciąż przepelniały dźwięki muzyki, a świat wirował jej przed oczami, czy to od przetańczonych walców, czy od mnogości twarzy i informacji, którymi uraczyła ją tego wieczoru nowa przyjaciółka. Słowa matki szybko sprowadziły ją jednak na ziemię. Uświadomiła sobie, że tak naprawdę nie zaprosiła Mildy w oficjalny sposób, ale przecież pożegnały się słowami „do zobaczenia” i wydawało jej się, że jasne było dla każdej z nich, że to nie jest



ich ostatnie spotkanie. Nie chcąc jednak ściągać na siebie gniewu rodzicielki, Ewa przytaknęła.

– Wysoccy to wpływowi ludzie. Milda pochodzi z bardzo zamożnej rodziny, ale kto wie, czy jej mąż nie zgromadził teraz większego majątku niż ten należący do jej ojca. Myślę, że powinnaś podtrzymać tę znajomość. Wokół niej zawsze kręci się wielu interesujących mężczyzn – kontynuowała matka.

– Masz na myśli bogatych mężczyzn, mamó – wtrąciła Emilia niby mimochodem.

Aurelia zgromiła starszą córkę wzrokiem.

– Owszem, to też miałam na myśli – odparła. – Ludzie wprawdzie sporo plotkują o Wysockich, ale to pewnie dlatego, że im zazdroszczą – dodała.

– Wysocka ma wszystko, o czym inni mogą tylko pomarzyć. Pieniądze, urodę, przystojnego męża, idealne dzieci, szacunek w towarzystwie... Jest czego zazdrościć, to i plotkować jest o czym – skwitowała starsza z siostr Grońskich.



Już prawie świtało, kiedy Wysoccy wrócili do mieszkania w kamienicy należącej niegdyś do matki Mikołaja. Pan domu, zamiast udać na spoczynek, skręcił do salonu, gdzie nalał sobie szklaneczkę jarzębiaka, po czym rozsiadł się wygodnie w fotelu i przymrużywszy oczy, delektował się jego smakiem.

– Mykoła? I jak się udały rozmowy? – zapytała Milda, stając w drzwiach pokoju.

– O, to był bardzo udany wieczór. Chyba znalazłem inwestorów dla huty żelaza w Zagłębiu Dąbrowskim! – ożywił się Wysocki. – Ale nie będę cię zanudzał szczegółami – dodał szybko, nie widząc na twarzy żony zainteresowania tematem. – A tobie jak minął bal? Miałem wrażenie, że dobrze się bawiłaś.

– Owszem, miło spędziłam czas – odparła, próbując ukryć dłonią ziewanie. – Pójdę już się położyć. Jestem zmęczona.

Odwróciła się, by odejść, ale wtedy zatrzymało ją pytanie męża:

– Ta kobieta, która ci towarzyszyła, to córka doktora Grońskiego? Milda spojrzała ponownie na małżonka.

– Owszem. Młodsza.

– Podobno jej mąż zmarł na Syberii. Nie chciałbym, żeby ta znajomość zaszkodziła moim interesom w Petersburgu – powiedział, po czym wychylił szklaneczkę do dna.

Milda na krótką chwilę zmarszczyła czoło, jakby nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała, a potem zaraz wybuchnęła śmiechem.

– Ewa? Chyba żartujesz. W jaki sposób mogłaby ci niby zaszkodzić? O Tadeuszu Zalewskim w Petersburgu już nikt nie pamięta, a ona sama nie zajmuje się polityką. Mykoła, kochanie... – Milda podeszła do Wysockiego, rzucając mu czarujące spojrzenie. – Ta kobieta musi po prostu znaleźć dobrego męża. Przy naszych koneksjach dużo łatwiej będzie jej wyszukać odpowiednią partię.

Tłumaczenie wsparte kołyszącym ruchem bioder odniosło zamierzony rezultat. Na wypadek gdyby jednak Wysocki miał jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości co do jej pobudek, pochyliła się, wyginając kusząco ciało tuż przed jego twarzą, a potem wyjęła mu z rąk szklaneczkę i odłożyła ją na stolik obok.

– Wierz mi, mój drogi, swatanie to wyśmienita zabawa. Chyba należy mi się trochę przyjemności od życia, prawda? – szepnęła, siadając mu na kolanach.

– No dobrze, zrób, jak uważasz. Uwielbiam, jak jesteś taka... przekonująca... – powiedział, przyciągając kobietę mocniej do siebie i wtulając twarz w jej piersi.



Dzień po balu sylwestrowym w domu państwa Grońskich upływał leniwie i sennie. Wszyscy poza dziećmi, które jak zwykle były pełne energii, snuli się zmęczeni po pokojach, przysypiając nad książkami czy robótkami ręcznymi. Przez tę atmosferę wydarzenia poprzedniego wieczoru wydawały się Ewie nierealne jak senne majaki.

Kiedy jednak Aurelia Grońska podeszła do przysypiającej nad książką córki i podała jej pachnący piżmem liścik, który właśnie dostarczył posłaniec, Ewa nabrała pewności, że znajomość zawarta z intrygującą Litwinką naprawdę miała miejsce.

Otworzyła elegancką kopertę i przeleciała wzrokiem po kształtnych, wykaliografowanych literach.

– Milda zaprasza mnie wraz z Marysią na herbatkę – oznajmiła matce, która usiadła obok, czekając, aż córka skończy czytać.

Aurelia uśmiechnęła się zadowolona.

– Rozumiem, że przyjmiesz zaproszenie? Takim ludziom się nie odmawia.



Ewa przytaknęła. Nie dlatego, że tak uważała jej rodzicielka, ale dlatego, że sama chciała lepiej poznać tę interesującą osobę, jaką wydawała się Milda Wysocka.

– Odpiszę, że z radością przyjdziemy – powiedziała, zasiadając przy sekretarzyku.



Kiedy po chwili Ewa wyszła z pokoju, żeby przekazać służącej liścik do Mildy, zastała ojca zarzucającego płaszcz na ramiona. Na ziemi leżała jego torba lekarska.

– Dokąd się wybierasz? – zapytała.

– Pomyślałem, że przejdę się do nazaretanek².

– Przecież dzisiaj święto.

– Choroby nie uznają świąt, kochana – powiedział, a zaraz potem dodał ugodowo: – Tutaj mnie nie potrzebujecie, a tam... tam na mnie czekają.

– Tatko, jak możesz tak mówić! Ty, niepotrzebny? Tutaj?! – oburzyła się Ewa.

W odpowiedzi na twarzy Grońskiego pojawił się wymowny uśmiech. Zalewska zbyt dobrze знаła swojego ojca, by nie wiedzieć, że starszy człowiek źle znosi bezczynność i szuka każdej sposobności, by wyjść z domu i robić to, w czym czuje się najlepiej i co zawsze sprawiało mu ogromną radość.

2 Przytułek zakonu nazaretanek w Grodnie.



– Poczekaj, pójde z tobą – powiedziała. Zostawiła list służącej i ubrała się ciepło. – To niedaleko, chętnie się przejdę, chyba że wolisz wziąć powóz? – zapytała.

– Przejdźmy się – zdecydował ojciec.

Szli przez zaśnieżone ulice Grodna. Dzień, jak to w zimie, był krótki i mimo wczesnej pory powoli zaczynało szarzeć. Zamek królewski majaczył na wzgórzu nad miastem, a dym z kominów opadał nisko, otulając przechodniów zapachem palonego drewna.

– Wiek nie zachodziłam do przytułku. Pamiętasz, jak zabierałeś mnie tam, kiedy byłam młodsza? – zapytała Ewa ojca.

– Pamiętam. Oj, nieraz dostałem za to burę od twojej matki.

– Na mnie też się o to złościła. Nie byłam łatwym dzieckiem, prawda?

– Ależ skąd! Miałaś po prostu własne zdanie i konkretne zainteresowania. Na twoje nieszczęście inne niż Aurelia.

– Za to ty, tatko, zawsze mnie wspierałeś.

– Oj, nie zawsze, nie zawsze. A pamiętasz, jak ukryłaś się w szafie, żeby przysłuchiwać się moim rozmowom z kolegami lekarzami? Tego było już za wiele nawet dla mnie. – Paweł Groński pogładził dłoń, którą córka trzymała go pod ramię.

– Wyrosłam z tego...

– Mam nadzieję, że jednak nie wyrosłaś i wciąż potrafisz postawić na swoim. Nawet jeśli czasem trzeba przez to ukrywać się w szafie... – zażartował.

Szli powoli, drocząc się i śmiejąc. Ewa uwielbiała rozmowy z ojcem. Nawet gdy była małą dziewczynką, zawsze traktował ją poważnie. Doceniała to szczególnie teraz, kiedy – chociaż faktycznie była

już dorosła – niektórzy ludzie odnosili się do niej jak do dziecka, któremu trzeba mówić, jak powinno się zachowywać i co ma myśleć.

– Czyżbyś jednak zdecydowała, że wyjdiesz za mąż? – Ojciec zmienił temat rozmowy.

– Nie wiem, czy zdecydowałam... Powiedzmy, że zaczęłam brać ten pomysł poważnie pod uwagę. Może faktycznie to najlepsze rozwiązanie dla mnie i Marysi? – zastanowiła się Ewa. – Tylko czy znajdzie się mężczyzna, który zaakceptuje mnie i moją niezależność? – Roześmiała się. – Najchętniej to wysłabym za ciebie, tatku, gdybyś oczywiście nie był moim ojcem i był wolny... Milda Wysocka na pewno pochwaliłaby mój wybór. Bardzo dobrze się o tobie wypowiadała, wiesz?

– Naprawdę? Miło mi to słyszeć. Pewnie wspominała ci w takim razie, że poznaliśmy się jakiś czas temu nad morzem?

– Wspominała, ale krótko – przyznała Ewa.

– Kilka lat temu byliśmy z twoją matką, Emilią i dziećmi w Połędzie³. Milda spędzała tam wakacje w domu swoich rodziców i mieliśmy okazję się poznać. Była wtedy bardzo młodziutka i nieco zagubiona.

Ewa pomyślała, że słowo „zagubiona” zupełnie nie pasuje do kobiety, jaką poznała. Z tym większą ciekawością słuchała opowieści ojca.

– Teraz nie przypomina dawnej Mildy. Jest pewna siebie i jak widzę, świetnie sobie radzi w towarzystwie... – Groński zawiesił głos. – Tak czy inaczej, uważam, że to wyjątkowo inteligentna

3 Nadmorski kurort nad Bałtykiem, obecnie na terenie Litwy.

kobieta. Pod tym względem jesteście do siebie bardzo podobne. Myślę, że możecie się zaprzyjaźnić.

Ewa chętnie dowiedziałaaby się więcej o Mildzie Wysockiej, ale właśnie dotarli na miejsce. Przytułek przy Klasztorze Sióstr Nazaretanek mieścił się w starych zabudowaniach zakonnych. Wcześniej prowadziły go siostry brygidki⁴, ale ze względu na represje carskie wobec Kościoła nowicjuszek było coraz mniej i w końcu władze zakonu podjęły decyzję o wyprowadzce z Grodna. Siostry nazaretanki przyjechały do miasta zaledwie kilka lat temu i robiły wszystko, co w ich mocy, by wieloletnia praca ich poprzedniczek nie poszła na marne. Nowa przełożona własnym sumptem wyremontowała co bardziej zniszczone budynki. Zakonnice mogły utworzyć przytułek dla najbiedniejszych, a w tajemnicy przed władzami rosyjskimi prowadziły nawet lekcje w języku polskim.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. A co pan doktor dzisiaj u nas robi?

Niewysoka, szczupła zakonnica wyraźnie się ucieszyła na widok Grońskiego. Była ubrana w czarny habit z białym, szerokim kołnierzem przy szyi, a na wysokim czepku na głowie miała ciemny welon.

– Na wieki wieków. To samo, co matka. Chorych i potrzebujących przyszedłem odwiedzić – roześmiał się doktor Paweł, tupiąc butami w przedsionku, by nie wnieść śniegu do środka.

– Wielce to po chrześcijańsku nowy rok od posługi najuboższym rozpoczynać. – Zakonnica wzięła z rąk Grońskiego torbę lekarską,

4 Do roku 1908 klasztor i przytułek prowadziły siostry brygidki.

by ten mógł ściągnąć płaszcz. – Ale widzę, że doktor dzisiaj z asystą przyszedł – zagaіła, zerkając na stojącą za ojcem Ewę.

– Córka zgodziła mi się dzisiaj towarzyszyć. Ewuniu, poznaj matkę Paulę. To przełożona tutejszych nazaretanek⁵.

Zakonnica skinęła głową w kierunku Ewy i uśmiechnęła się do niej. Z wiekiem Zalewska stawiała się jeszcze bardziej podobna do ojca, więc łączące ich pokrewieństwo było wyraźnie widoczne.

– Pani pierwszy raz u nas, prawda? – zapytała zakonnica, odbierając od Ewy płaszcz.

– Bywałam tutaj często jeszcze jako dziecko – odpowiedziała kobieta i wzięła do ręki torbę ojca.

– My dopiero od niedawna tutaj pracujemy i staramy się nie zaprzepaścić tego, co wypracowały siostry brygidki. Jest nas zaledwie kilka, ale nadrabiamy gorliwością.

Matka Paula otworzyła drzwi do kolejnego pomieszczenia, w którym stały prosty stół, łóżko oraz całe mnóstwo regałów. Ułożone były na nich różnej wielkości pudelka i szklane słoiczki. Pomieszczenie wypełniała woń ziół, chloroformu oraz – mimo sterylnej czystości i porządku – również ludzkiego ciała i potu.

5 W 1908 roku, gdy siostry nazaretanki przejęły w Grodnie klasztor po brygidkach, pierwszą przełożoną tej wspólnoty była Maria Gażycz (<https://www.niedziela.pl/artukul/1561/100-lat-Siostr-Nazaretanek-w-Grodnie>, dostęp: 1.08.2025). Matka Paula od Jezusa, bo takie przyjęła imię, zanim wstąpiła do zakonu w 1906 roku w Rzymie, realizowała się jako utalentowana malarka, uczennica Wojciecha Gersona (<https://zamek-lublin.pl/biogramy-artystek>, dostęp: 1.08.2025).

Zapach ten dochodził z sąsiedniego pomieszczenia, do którego wiodły kolejne drzwi, teraz uchylone.

– Mam nadzieję, że nie jest pani zbyt wrażliwa, bo widok chorych, a szczególnie jeszcze ich zapach bywa nieprzyjemny. Młode damy, które w porywie serca czy chrześcijańskiej powinności przychodzą do nas z pomocą, nie są na to przygotowane... – uprzedziła matka przełożona, obrzuciwszy sceptycznym spojrzeniem elegancką suknię Zalewskiej.

– Niech się matka nie martwi. Jestem córką mojego ojca – odpowiedziała Ewa.

To zapewnienie wystarczyło, by zakonnica nie pytała o nic więcej. Położyła drobną dłoń na klamce i energicznym ruchem otworzyła drzwi do sali chorych.

– Siostra Klara wszystko państwu wyjaśni – powiedziała i zostawiła ich w progu.

Ciężki odór ludzkich ciał, krwi, potu i moczu uderzył w nozdrza wchodzących. Pomimo obaw matki Pauli nie zrobił on jednak żadnego wrażenia ani na doktorze Grońskim, ani na jego córce. Ewa rozejrzała się ciekawie po pomieszczeniu, do którego weszli. Niewiele się zmieniło, odkąd była tu po raz ostatni. Najwyraźniej bieda i nieszczęścia pozostawały niezmiennie mimo upływu lat.

Kilka, może kilkanaście rozstawionych po pomieszczeniu łóżek zajmowali mężczyźni, głównie starcy. Słychać było szmer rozmów, jęki i biadolenia cierpiących. Wokół chorych kręciła się młoda zakonnica w białym fartuchu pobrudzonym wydzielinami ludzkich ciał.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! – pozdrowił wszystkich gromkim głosem doktor Groński.



Twarze większości leżących zwróciły się w jego stronę. Niektórzy poruszyli się na swoich posłaniach, chcąc zwrócić na siebie uwagę lekarza, inni wymamrotali pod nosem powitanie, pozostali, ci, którzy byli zbyt słabi, żeby mówić, wodzili tylko za nim wzrokiem.

– Na wieki wieków, amen – odpowiedziała młoda zakonnica i ruszyła w kierunku gości.

– Dzień dobry, siostrzo Klaro, czy jest coś, czym powinniśmy się zająć dzisiaj w pierwszej kolejności? – zapytał Groński, przechodząc od razu do rzeczy, zupełnie zapomniawszy o prezentacji córki.

Zakonnica skinęła Ewie głową na powitanie i zwróciła się do doktora Pawła.

– Dobrze, że pan doktor jest. Przyszła dzisiaj kobieta z małym chłopcem. Są w części dla kobiet, proszę za mną – powiedziała i od razu ruszyła szybko w kierunku kolejnego pomieszczenia. Gdy Ewa z ojcem ruszyli za nią, mówiła dalej: – Dziecko gorączkuje. Zrobiłam wszystko, co mogłam, ale bez skutku. Ani okłady, ani napary ziołowe nie przyniosły efektów. Pomyślałam, że pozostała już tylko modlitwa. I faktycznie, Bóg nasz miłosierny przysłał pana doktora.

Dotarli do części przytułku przeznaczonej dla niewiast i dzieci. Kiedy weszli do środka, jedna z kobiet, klęcząca dotąd przy łóżku, na którym leżał kilkuletni chłopiec, zerwała się z miejsca i rzuciła do kolan Grońskiego.

– Doktorze, łaski upraszam. Niech go pan ratuje! – krzyczała.

Była otulona w wielokrotnie lataną, szarą, brudną odzież. Stopy mimo zimy miała bose, sine od odmrożeń i brudu.

– Siostro...? – Groński poszukał wzrokiem towarzyszącej im zakonnicy.

Mniszka objęła kobietę, pomogła jej wstać i przemówiła kojąco. Doktor tymczasem podszedł do łóżka. Chłopiec był rozpalony i nieprzytomny, oddech miał ciężki, świszczący. Groński przyłożył dłoń do czoła dziecka.

– Ewuniu, podaj mi, proszę... – Odwrócił się w kierunku córki, która już wyciągała do niego dłoń ze stetoskopem.

Doktor odłożył na bok szary koc, którym malec był przykryty, i osłuchiwał dokładnie piersi chłopca. Kiedy po chwili ponownie odwrócił się w stronę Ewy, by poprosić o strzykawkę i słoiczek z lekarstwem, ta trzymała w dłoniach dokładnie to, czego potrzebował.

Tego dnia Ewa z ojcem zajęli się jeszcze kilkoma innymi pacjentami, opatrując odmrożenia i rany oraz usztywniając połamane kończyny, w międzyczasie wciąż z uwagą doglądając gorączkującego chłopca. Kiedy po paru godzinach opuszczali przytułek sióstr nazaretanek, stan malca powoli się stabilizował. Siostra Klara obiecała zająć się chłopcem, a doktor Groński zapowiedział, że wpadnie do niego nazajutrz.

– Może powinnam zostać? – zapytała Ewa.

– Siostra Klara będzie go doglądać – uspokoił ją ojciec. – A jutro ja do niego zajrzę. Ty jesteś przecież umówiona z Mildą. – Widząc, że jego tłumaczenie nie przemawia do Ewy, dodał: – Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy. Jest w dobrych rękach.

